

Wojciech Kruszewski: Poeta i ziemia. O jednym późnym wierszu Józefa Łobodowskiego

Łobodowski ma obie ręce gotowe do nieustannego bicia na odlew. W swoim pisaniu, oczywiście – pisze Wojciech Kruszewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Łobodowski. Ostatni ataman Rzeczypospolitej”.

Gdyby mi ktoś kiedyś za to zapłacił i gdyby jeszcze mi się na dodatek chciało, zrobiłbym album z ikonami poetów. Każda z postaci w moim albumie wyposażona byłaby w jakiś przedmiot albo miałyby charakterystyczny wygląd, dzięki czemu można by ją od razu zidentyfikować. I starałbym się ten szczególny atrybut jakoś w albumie wykorzystać do wprowadzenia w daną twórczość. Na przykład Camões – zamknięte lewe oko, nawet lepiej dziura po oku wykłutym strzałą. Camões patrzący na Portugalię tylko jednym okiem, tym idealizującym. Albo Byron – zdeformowana stopa. Byron utykający, odzyskujący właściwy rytm tylko w wodzie, no i w swoich wierszach. Z polskich pisarzy weźmy Stefana Grabińskiego – ropiejąca rana prawej dłoni, rana wypalona słońcem. Grabiński podążający wzrokiem za piórem, z którego spływają te wszystkie mroczne historie, ale kątem oka wciąż mimowolnie widzący bliznę na dłoni. A Józef Łobodowski? Tu nie mam wątpliwości: rękawice bokserskie. Bo Łobodowski ma obie ręce gotowe do nieustannego bicia na odlew. W swoim pisaniu, oczywiście. Sam pisarz wiedział o tym doskonale. Musiał wiedzieć, skoro modlił się:

Panie Jezu, któryś za nas cierpiał rany,
daj do rąk
Twój miecz obiecany!

(Modlitwa)

Albo tu, gdy mówił o swoich wierszach:

Szorstkie, chropawe, jeżeli potrzeba – chamskie!
To chłopski bimber, nie złociste wino szampańskie,
które lokaje podają sprzedajnym dyplomatom.
A jeśli kogo trzeba twardym słowem namaścić
i strzelić w pysk, i zawołać: wciórności! –
to i na to lecę, jak na lato!

(Dedykacja)

Taki wizerunek poety jakoś się już zresztą w naszej kulturze utrwalił.
Weźmy pod uwagę choćby powracające formuły: ataman Łoboda czy
człowiek gwałtowny. Znamy ten momentami choleryczny,
bezkompromisowy styl i jego publicystyki, i prozy, i wierszy nawet, tak
mocno oddziałujący na recepcję jego twórczości.

Przeczytaj również: Nie mam tu zamiaru bawić się w ironię, ani potępiać całej literatury współczesnej

To jednak tylko część prawdy o autorze *Pamięci Sulamity*. Jest bowiem w jego utworach i drugi biegun, dzięki któremu wymykają się one tego rodzaju uproszczeniom, zachęcając do kolejnych lektur. Chuligan literatury ociera się czasami o czułość, może nawet wręcz czułościowość. W swojej najczystszej postaci jakość ta pojawia się, moim zdaniem, w wierszach będących wyrazem tęsknoty do ojczystej ziemi.

Do kraju polnych grusz
i złotych sosen,
gdzie misę z zsiadłym mlekiem nakrywa bochen chleba,
gdzie płatki bzu poranną piją rosę,
od dawna już
powracać mi potrzeba!

(Lubelszczyzna)

Ojczyzną, do której tęsknił bodaj najmocniej, była nie Lubelszczyzna, a Wołyń. Pisząc o nim, poeta w zasadzie muska go tylko w swoich wierszach oddechem. Choć nie zawsze jest to wizja wyidealizowana. Często z czułością splata się tu jednak trzeźwe spojrzenie świadka i znawcy krwawej wołyńskiej historii. Taki jest Wołyń na przykład w tomie *Rachunek sumienia*, w zamierzeniu samego twórcy mający podsumować jego literacką drogę.

Przeczytaj również: Żywot człowieka piszącego. Wokół „Notatników” Józefa Łobodowskiego

Chciałbym tu poświęcić kilka słów poetyckim zapisom o Wołyniu niewydanym przez samego pisarza. Znalazłem je w jego tzw. trzynastym notatniku, przechowywanym w literackim oddziale Muzeum Narodowego w Lublinie. Zapisy te powstały prawdopodobnie niedługo po 1 października 1980; taka jest najbliższa data dzienna im towarzysząca. Interesujący mnie wiersz znajduje się między dwiema króciutkimi, lirycznymi notatkami, być może wariantami pewnego pomysłu, rodnikami wiersza zatytułowanego w obu wersjach *Jewsza-ziele*. A może to jednak gotowa (w którejś z tych wersji), choć nieopublikowana całość? Redakcja pierwsza (wszystkie cytaty poniżej podaję z rękopisu w mojej transkrypcji):

Tchem cudnym powiało jakby obca dziedzina...
O, nie! To już
i mięta, i stokrocie, i ziemia Wołynia.

I wersja druga (druga zapisana w notatniku, niekoniecznie kolejna chronologicznie), w całości w tym notesie skreślona:

Tchem cudnym powiało.
O, nie!
i mięta, i stokrocie, i skiby Wołynia.

Efekt Prousta? Sensoryczny (tu zapachowy) bodziec otwiera pamięć, z której uwalniają się zapomniane już prawie epizody z wczesnego okresu życia. Może nawet więcej: dzięki dość przypadkowemu wrażeniu, jak choćby ledwo wyczuwalna woń, wręcz odnajdujemy się w odległej czasowo i przestrzennie rzeczywistości, fizycznie będąc przecież zupełnie gdzie indziej. Tak więc można siedzieć przy kawiarnianym stoliku w Madrycie, ale poczuć się jak na ukraińskim stepie.

Przeczytaj również: Mit dzikiego dzieciństwa w „Komyszach” Józefa Łobodowskiego

Jak to się dokonuje? W literaturze, dzięki ewokacyjnej sile dobrze nastrojonego słowa. Nawet jeśli rzecz zrodziła się na kanwie jakiegoś rzeczywistego bodźca, od razu została wysłowiona w sposób literacki, a więc zmitologizowana. Poeta używa słowa jewszan, nie piołun (piołun stepowy), a w kulturze ukraińskiej jest jewszan rośliną legendarną. Sam fakt, że polski poeta podaje w tytule nawet nie samą nazwę jewszan, ale jewszan-ziele, na dodatek dokładnie tak, jak jest w języku ukraińskim – z kreską, jest wyraźnym sygnałem, że nie pisze o żadnej rzeczywistej roślinie, ale o kulturowym symbolu. Jewszan-ziele pojawia się w ukraińskiej literaturze od końca XIX wieku w miarę regularnie, choćby w twórczości Iwana Franki, Mykoły Worony, Wasyla Paczowskiego i zawsze jest on przypomnieniem ojczyzny. Bynajmniej nie dlatego, by pachniał pięknie. Ukraińska poetka Irina Stasiw-Kaliniec, redagująca pod koniec lat osiemdziesiątych jeden z numerów samizdatowego lwowskiego almanachu społeczno-kulturalnego zatytułowanego, a jakże, „Jewszan-ziele”, scharakteryzowała tę roślinę następująco: cierpka, nieprzyjemnie pachnąca, gorzka w smaku. Taki to i Proustowski efekt. Taka to ojczyzna.

Łobodowski swój wołyński sentyment wpisuje więc w znany wołyński mit. Oba przywołane powyżej okruchy liryczne przenoszą nas do mitycznych wołyńskich początków. *Latopis halicko-wołyński* zachował je w następującej formie (nieco porządkuję zapis ze źródła, z którego korzystałem):

Po śmierci zaś Włodzimierza pozostał przy Syrczanie jeden tylko gęślarz Oriej. I posłał go do Obezów, mówiąc: „Włodzimierz umarł. Wróć, bracie, pójdź w ziemię swoją. Przekaż mu moje słowa i zaśpiewaj mu pieśni połowieckie. Jeśli zaś nie zechce, daj mu powąchać ziela zwanego jewszan”. Ów zaś nie chciał ani wracać, ani słuchać, więc dał mu Oriej ziele. On zaś powąchał i zapłakawszy, rzekł: „Lepiej jest na swojej ziemi kośćmi lec, niżeli na cudzej sławnym być”. I przyszedł w swoją ziemię.

W kontekście pisarstwa Łobodowskiego – o czym są te liryczne drobiny? Jeśli spróbować przekroczyć sentymentalną lekturę, wydają się one, paradoksalnie, wyrazem kapitulacji. Bo oto jest coś silniejszego niż pieśń poety: bezsłowne wołanie ziemi. Poeta w opowieści z latopisu to ktoś, kto przegrywa, kto nie ma żadnej szansy oddziałać swoim słowem na człowieka. W tej dyscyplinie jest tylko jeden zwycięzca – rodzinna ziemia. Jej nawet mdłe odbicie (jak ten ślad zapachu) może spowodować prawdziwą przemianę, może wzbudzić trudne do przewyciężenia pragnienie. Poeta nie ma tu żadnych szans.

Między tymi drobinami, jak w ramie lirycznej, znajduje się w notatniku trzynastym wiersz bez tytułu, przełamujący tę legendę:

* * *

Ktoś wstał na cały wzrost – niezmierny –
i świat przywalił mrokiem i zaduchem.
A ty do ziemi przyłgnij i posłuchaj:
nie będzie dni, lecz noce – tak jak pierwej!

Ktoś zajął się płomieniem, ale ścichł.
Ktoś czernią i czerwienią barwy zmylił.
I wszystkie rzeki z brzegów wystąpiły.
I ziemia już wiedziała: Będzie wicher!

Wiersz ten pozostaje w ścisłym genetycznym związku z dwoma fragmentami o jewszanie. Nawet składniowo; słyszymy tu przecież ów strukturalny, stanowiący oś konstrukcyjną wiersza polisyndeton, trzykrotne wprowadzanie kolejnych całości spójnikiem i zarówno w tym, co nazwałem ramą wiersza („i mięta, i stokrocie, i skiby / i ziemia”), jak i w samym wierszu („i czerwienią barwy zmylił. / I wszystkie rzeki z brzegów wystąpiły. / I ziemia już wiedziała”).

Jest jeszcze jeden, chyba głębszy związek między dwiema drobinami lirycznymi o jewszanie a wierszem bez tytułu, który znajduje się między nimi. Jewszan to piołun. Wizja z wiersza ma bez wątpienia charakter apokaliptyczny. A przecież jednym ze znaków końca czasów jest Gwiazda Piołun (por. Ap 8, 10-11). Ten proroczy charakter katastroficznej wizji jest zresztą jednym ze znaków charakterystycznych Łobodowskiego obrazów Ukrainy.

Przeczytaj również: Józef Łobodowski jako tłumacz poezji ukraińskiej

I na koniec jeszcze jedna uwaga. Jak już wspomniałem, przywołane powyżej wariantywne poetyckie zapisy pozwalają dostrzec, że tryumf nad ludzką pamięcią odnosi żywioł ziemi. W wierszu ten sam żywioł jest jedyną ucieczką człowieka („do ziemi przyłgnij”) i jest instancją niemal boską, opozycyjną wobec miażdżącej człowieka historii („ziemia wiedziała”). Jest ucieczką przed jakąś potężną mocą, wrzucającą człowieka w mrok, duszącą go, mocą o apokaliptycznych rozmiarach. Cały ten fragment notatnika trzynastego osnuty jest więc na wyraźnym powrocie do ziemi. Ziemi (po pierwsze) jako nieludzkiej siły, silniejszej niż słowo poety, a także takiej (to po drugie), która stanowi istotną siłę dla człowieka miażdżonego przez historię. Pisze to ktoś oderwany od ojczyzny. Ale to nie znaczy, że poeta ma skapitulować. Jego przeznaczeniem jest dalej stroić słowa, śpiewać. W brulionie **** [Ktoś wstał na cały wzrost]* jest wyraźny ślad tej pracy Łobodowskiego – muzyka. Pozwolę sobie to opisać, skoro nie mogą tego Państwo zobaczyć. W każdej z dwóch strof drugi wers (odpowiednio: „i świat przywalił mrokiem i zaduchem” oraz „Ktoś czernią i czerwienią barwy zmylił”) był najpierw wersem w tej strofie czwartym. A dokładniej rzecz ujmując, choć też nieco upraszczając: poeta najpierw zapisał go zawsze pod wersem pierwszym strofy, następnie zapisał jako wers czwarty, a następnie przeniósł i ostatecznie ustabilizował jako wers drugi. Niedawno siedzieliśmy nad tym brulionem w niewielkim gronie i próbowaliśmy sobie odpowiedzieć na pytanie o powód tego wahania Łobodowskiego. Dlaczego najpierw drugi wers przenosił na koniec strofy, a później jeszcze raz go przeniósł w poprzednie miejsce? I poeta Rafał Rutkowski powiedział, że tu przecież wyraźnie chodzi o muzykę wiersza, o nic innego; żadna tam wymowa – muzyka, melodia. I

dyskutując o tym, Rafał powiedział, że trzeba mieć jasną świadomość: muzyka w poezji to jest inna muzyka niż ta, o której zwykliśmy myśleć. Nie da się do niej zatańczyć, choć da się do niej zapłakać.

Jestem za tę myśl mojemu koledze szczerze wdzięczny, a czytając po raz kolejny wiersz Łobodowskiego, nie mogę już o nim myśleć inaczej niż jako o takiej piosence o utraconej ziemi.

Wojciech Kruszewski

**Wszystkie artykuły w „Teologii Politycznej Co Tydzień” [527]:
„Łobodowski. Ostatni ataman Rzeczypospolitej”**



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego